ROK DRUGI.

—

№ 42.

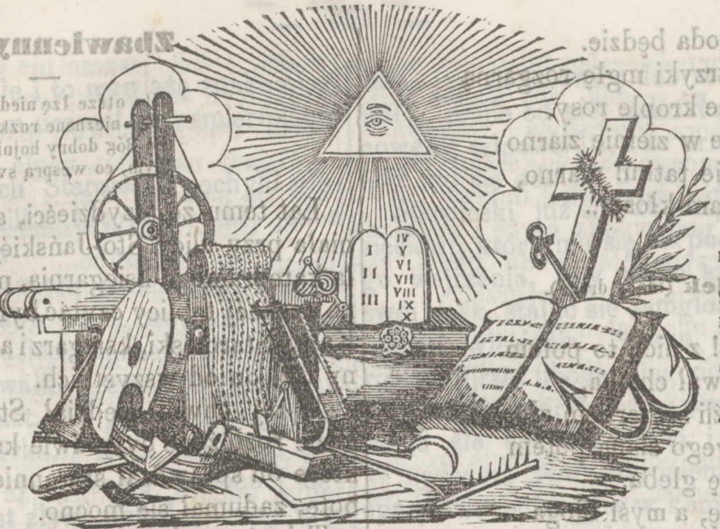
Warszawa.

Dnia 6 (18) października

1857.

Niedziela

19 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie, rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Doskonałem zwycięztwem jest pokonanie samego siebie; kto bowiem siebie w takiej podległości trzyma, iż żądze rozumowi, a rozum Bogu jest we wszystkiem posłuszny, ten prawdziwie zwycięzcą jest siebie. (O naśl. Chr. K. 3 R. 53.)

Pieśń jesienna.

Siewca (na zagonie).

Żal się, żal się mocny Boże!
Téj rolnika doli:
Gnąc się z trudu, ziemię orze,
Gnąc się z trudu, rzuca zboże
W czarne łono roli.
I od rana do wieczora
Czoło kąpie w znoju,
Jedna tylko nocki pora,
Jak dla dziecka matka skora
Tuli go w pokoju.
Ale ledwie błysną zorze,
Stare idą biedy;
Nawet tobie Ojcze Boże!
Jak skowronek na ugorze
Niema śpiewać kiedy.

Anioł Stróż (w obłoku).

Pieśń skowronka słodko płynie
Górą wśród błękitu,
Bo Bóg kazał téj ptaszynie,
Kiedy ciemność nocy minie,
Wieścić chwilę świtu.
Ale tobie Boży Synu!
Inna praca dana:
Byś w dostojnéj chwale czynu,
Braterskiego sługa gminu
Powstał na sąd Pana,
A Pan w dłoni z krzyża zdjętéj
Szal zawiesi dwoje,
I miłości owoc święty
Zważy każdy trud podjęty,
Wszystkie łzy i znoje...

Dziecię (na kamieniu pod drzewem).

Tatku! tatku! czy słyszycie,
Ptaszek śpiewa w górze?
Coś błysnęło na błękicie,
Niby słonko przy rozświcie,
Albo gwiazdka w chmurze.
Ach! podnieście tylko czoło,
Jak tu pięknie wszędzie!
Jak tu pięknie, jak wesoło,
Świat się śmieje naokoło,

Znać pogoda będzie.
Tak, wietrzyki mgłę rozgarną
W srebrne krople rosy,
A rzucone w ziemię ziarno
Nie zaginie tatku! marno,
Urosną nam kłosy!..

Dziadek (idący drogą).

Oj urosną! z nich to potem
Będzie kawał chleba,
Lepiéj, niźli szczernem złotem,
Siewcy swego zlana potem
Odpłaci się gleba.
Odpłaci się, a myśl błoga
Zostanie w nagrodzie,
Że gdy zima przyjdzie sroga,
On to z łaski Pana Boga
Da chleb braciom w głodzie.
Tak rolniku! choć więc skronie
Zlewa znój gorący,
Klęknij tutaj na zagonie,
Złóż pokornie grube dłonie
I głos podnieś drżący:
Boże! któryś w krwawym pocie
Winy zmazał stare,
I w miłości téj tęsknocie
Konający na Golgocie
Żółci spełnił czarę,
Boże! przyjmij dziś w ofierze
Prace Twego ludu,
I policz mu za pacierze
Przecierpiane w ojców wierze
Dni znoju i trudu.

Chór (wszystkich głosów razem).

Boże! któryś w krwawym pocie
Winy zmazał stare,
I w miłości téj tęsknocie
Konający na Golgocie
Żółci spełnił czarę,
Boże! przyjmij dziś w ofierze
Pracę Twego ludu,
I policz mu za pacierze
Przecierpiane w ojców wierze
Dni znoju i trudu.

Zbawienny sen.

Kto otrze łzę niedoli, nędzę poratuje,
Ten nieznane rozkosze w sercu swem uczuje;
Bo Bóg dobry hojnie płaci
Tym, co wesprą swoich braci.

Lat temu ze trzydzieści, a może i więcéj, istniała przy ulicy Śto-Jańskiéj, niedaleko kościoła katedralnego księgarnia, nade drzwiami któréj na czarnéj tablicy czytać było można napis: Jan-Kanty Staroleski, księgarz i antykwaryusz—znany był on od wszystkich.

W téj chwili siedział Staroleski przy stole, gdzie rozłożone były dwie książki rachunkowe, które on sprawdzał starannie; ukończywszy robotę, zadumał się mocno.

Tak jest akurat, mówił do siebie—rok ten przynosi mi 3009 talarów czystego zysku; wszystko zaspokojone: podatki, utrzymanie domu, lekcye córki, zostaje mi zawsze 3009 talarów. Z tych 3000 talarów złożyłem wczoraj u bankiera, dukata dałem dziś rano Małgosi, a dwa dukaty mam w kieszeni—rachunek jest dokładny. Ktoby mi był przed 30 laty powiedział, kiedy ubogi sierota przyszedłem pieszo z Opoczna do Warszawy, wyciągając rękę po drodze, i bliski śmierci z głodu, gdyby nie litość jakiegoś podróżnego; ktoby mi powiedział, że kiedyś ujrzę się w posiadaniu niezłéj fortunki, która jak się spodziewam, podwoi się niejednokrotnie. Wprawdzie odmawiałem sobie wszystkiego i pracowałem jak wyrobnik; ale praca, to moja rozkosz. Bóg obdadzył mię zdrowiem, siłą i dzieciną; cóż mi więc zostaje do żądania? Jeżeli pragnę być bogatym, to dla ciebie tylko moja Małgosiu; na twoje to wiano chcę jeszcze pracować. Mam w moim składzie przeszło na 40,000 dobrych dzieł, których cena wzrasta z upływem każdego dnia; mam 60,000 dobrze ulokowanych poza obrębem mego zakładu; jestem znany i poważany, nie mam jeszcze lat 50. któż wie jak daleko zajdę? Małgosia jest słabego zdrowia, jak była jéj matka, nie wydam jéj za mąż przed 20ym rokiem; mam więc pięć lat jeszcze przed sobą, a przez pięć lat dużo można zrobić. Wyszukam jéj dobrego męża, człowieka wykształconego, dobrze położonego i delikatnego; to dla niéj potrzebne. Przy dobrym posagu, nietrudno mi będzie o takiego; nie pragnę bowiem, iżby był koniecznie bogatym. Dla czegoż jéj matka nie może być świadkiem jéj szczęścia, które będzie mojem dziełem? Przy-

najmniéj wywiążę się i to wywiążę znakomicie z zobowiązania, jakiem uczynił przy śmiertelnem jéj łożu.

Przy tych uwagach Staroleski pochylił głowę, a wyjąwszy kilka listów, czytał jeden z nich takiéj osnowy:

„Panie! choć nieznana, śmiem się odnieść do twéj litości. Wdowa po b. wojskowym, pozostałam z chorem dzieckiem bez żadnego funduszu; nie mam kawałka drewna do pieca, ani kawałka chleba do ust. W głowie mi się mąci, i gdyby nie moja córka... Lecz czuję, że niedługo zdołam walczyć przeciw podobnéj nędzy. Głód panie! jest złym doradcą; miéj więc litość nad nami, przyjdź, zobacz, i uratuj nas.“ *Elżbieta Walczyńska, ulica Przyrynek. nr* 1889.

— Przeklęty list! zawołał Staroleski, gniotąc papier; myślałem, żem go już zniszczył. To ten sam, com go otrzymał dziś rano podczas śniadania, ten sam, co tak rozrzewnił moję Małgosię, że się biedaczka spłakała. To dziecię ma to ze mnie—jest zbyt czuła, musiałem ją aż wyłajać. Biedaczka brała na serjo te żale kobiety pragnącéj korzystać z dobréj wiary innych. Zapewne, że moja litość jest znaną, mówił daléj, wszyscy wiedzą, że co piątek rozdaję po pół rubla groszami, co uczyni ni mniéj ni więcéj, tylko 52 ruble na rok.

I Staroleski drąc papier, zamyślił się głęboko. Całe jego ubiegłe życie rozwijało się przed nim; widział się dzieckiem, wypędzonem przez nędzę z ojczystego domu, w którym śmierć dotknęła jego rodzinę; następnie przez długi czas chłopcem sklepowym, zarabiającym ciężką pracą na pieniądze, które miały go wyswobodzić. Na wspomnienie dawnéj swéj nędzy, uczuwał podwójną rozkosz dobrego obecnie bytu, tego spokoju, jaki go otaczał, ciepła, co go ogrzewało; poczem zmęczony i napół uśpiony przedłużonem czuwaniem, opuścił głowę i zasnął.

—

W śnie tym zdawało mu się widzieć niepewną jasność; zwolna ten pół-cień rozjaśnił się, a Staroleski ujrzał swój magazyn, a raczéj najpiękniejsze, a zarazem najdroższe swe księgi, ustawione na pułkach, błyszczące szczególnym blaskiem—nie były to już księgi, ale sztaby złota. Przed całem tem bogactwem Małgosia przechodziła z obojętnością, żywa, powabna, pełna wdzięków, jak nigdy. Piękny młodzian, szlachetnéj postawy mówił do niéj, a Małgosia rumieniąc się, z wzrokiem spuszczonym, odpowiadała, jak na dziewicę dobrze wychowaną przystało, iż nie od niéj zależało udzielenie mu stanowczéj odpowiedzi, i że przedewszystkiem należy mu się odnieść do jéj ojca.

Staroleski już się zbliżał, ażeby podać rękę zięciowi, który mu się tak podobał od pierwszego wejrzenia, gdy nagle sztaby złote straciły swój blask, stając się zamglone i ponure jak kamienie więzienia. Ściana rozwarła się i Staroleski ujrzał ubogą izbę, zimną, wilgotną i niezdrową, do któréj deszcz z wiatrem wciskały się przez źle spojone drzwi i potłuczone szyby. W nędznem tem schronieniu nie było żadnych sprzętów, ani ognia w kominie. Uboga kobieta, zestarzała przed czasem, z włosem w nieładzie, z zapadłem okiem, rysami zniszczonemi, cerą zgorączkowaną od łez i niewczasu, siedziała na stołku, i przy niepewnem świetle łojówki usiłowała dokończyć haftu, zbyt delikatnego na jéj wzrok osłabiony. Sznur, na którym zawieszone było przemokłe odzienie, przedzielał izbę, a poza nim widać było na nędznem posłaniu, leżące dziecko, małą dziewczynkę, bez prześcieradła, bez kołderki, mającą za całą ochronę przeciw dojmującemu zimnu, wełnianą czarną spodniczkę, która osłaniała jéj nogi. Co chwila kaszel wstrząsał wychudzonem ciałkiem dziecka, gorączka trawiła chorą; raz krople potu spływały jéj po twarzy, drugi raz dreszcz śmiertelny ją przejmował.

— Matko! mówiła przerywanym głosem, daj mi mój kubek z mlekiem, tak mi się pić chce.

— Moje dziecko, wiesz przecie, żem go zastawiła wczoraj, ażeby ci dać troszkę rosołu i zapalić w piecu, a na mleko nie zostało ani grosza.

— To mi daj twoję wełnianą chustkę, tak mi zimno.

— Moja najdroższa, sprzedałam ją dziś rano, na nasz dzisiejszy posiłek—i prócz tego starego szlafroka, co cię okrywa, oraz spodniczki, co ją masz na nogach, nic mi nie zostało.

— Matko! mówiło dziecko we łzach, połóż się przynajmniéj obok mnie, to mnie rozgrzejesz.

— O moje dziecię, wiesz dobrze, że nie mogę spoczywać— haft ten muszę odnieść jutro rano, ażebyś miała jutro co do ust włożyć, a tak już niedowidzę, że cała noc będzie potrzebną do wykończenia téj delikatnéj roboty.

Dziecię zamilkło, matka otarła łzę i wzięła się na nowo do pracy—i było tylko słychać świst wiatru przedzierającego się przez szczeliny. Na-

raz silny powiew przedzierając zalepione papierem szyby, rzucił na środek izby tuman deszczu ze śniegiem; chora przerażona i zlodowaciała, dostała gwałtownego napadu kaszlu. Matko! matko! wołała, duszę się! Matko! umieram...

Biedna kobieta, pochwyciła córkę i posadziła ją na kolanach; przyciskała ją do piersi, całowała, brała w objęcia, aby ją rozgrzać.

— A te listy, co miały nam przynieść pomoc, cóż się z niemi stało? mówiło dziecię, nieco uspokojone, wyciągając ręce ku twarzy matki, aby ją pocieszyć.

— Nie mam na nie odpowiedzi moja droga, a jednakże oni tacy bogaci; jeden dukat, który jest niczem dla nich, byłby nas ocalił.

— Mamo! ich Bóg ukarze, gdyż są nielitościwi.

— Nie, moje dziecko, bogaci nie są nielitościwymi, lecz oni nas nie widzą i nie wiedzą co cierpimy.

— Ale pan Staroleski, na którego mamo tyle liczyłaś, ponieważ i on był kiedyś biednym, i który wie, co to nieszczęście?

— Staraj się usnąć moja mała, położę cię na łóżku.

— O jeszcze nie mamo, ach! duszę się; powietrza! powietrza!... i skłoniła głowę, zemglona, prawie martwa.

— Ach! zawołała matka, rzucając dziecko na posłanie, już po wszystkiem. Jeżeli masz umrzeć moja córko, to cię poprzedzę na tamten świat, jeżeli zaś żyć będziesz, to dobroczynność mieć będzie o tobie staranie. Ponieważ nie masz dla mnie żadnéj nadziei na tym świecie, niech mi Bóg przebaczy, i zmiłuje się nademną!

Otworzyła gwałtownie okno, i wstąpiła na krawędź...

— Zatrzymaj się, zatrzymaj szalona! wołał Staroleski — są jeszcze poczciwi ludzie. I rzucając się na pokój, przebudził się z gwałtownem biciem serca, leżąc niedaleko fotelu, w którym był zasnął.

Potrzebował niemało czasu, ażeby zebrać zmysły; ogień wytlał, lampa zagasła, wszystko było czarnem i milczącem w tym pokoju, niedawno tak wesołym. Kiedy wyszukawszy krzesiwo, zapalił świecę, przyszedł pomału do siebie, ale był żółty, zmieniony od przerażenia.

—Cóż to za sen straszny! zawołał. Oto, co to jest zmiana przywyknienia. W pół do trzeciéj i jeszcze na nogach; co pomyślą o mnie moi są-siedzi, jeżeli jeszcze nie śpią? Bierz licho tych urojonych żebraków, co nas niepokoją dniem i nocą. Daléj, zmówmy pacierz i do łożka.

Usiadł na łóżku, nagle wzniósł głowę, i zdawał się nadsłuchiwać...

— Cóż to ja słyszałem? ale to niepodobna, musiałem się omylić...

To, co go tak zmieszało, nie było tylko przywidzeniem; trzeba było ojcowskiego ucha, ażeby schwycić odgłos tak słaby. Zdawało się Staroleskiemu, iż pomimo dzielących go murów usłyszał kaszel swéj córki.

Przez parę minut pozostał bez ruchu, wstrzymując oddech, nasłuchując z okiem wlepionem w sufit; zdawało mu się bowiem, iż rozpoznał jeszcze głos Małgosi.

Wstał i poszedł, drżąc cały, wewnętrznemi schodami na wyższe piętro, gdzie był pokój jego córki, i przyłożył ucho do drzwi—wszystko cicho. Rysy jego wypogodziły się—prawdziwie rzekł, ten fatalny sen tak mnie ściga. Zeszedł dwa stopnie i zatrzymał się. Tym razem nie było wątpliwości: Małgosia była cierpiącą.

Staroleski wszedł na palcach do pokoju, przysłaniając dłonią blask świecy, ażeby nie przerazić dziewczęcia; doszedłszy do jéj łóżka, znalazł ją śpiącą i wpatrywał się w nią z równą miłością jak i niepokojem.

Spoczywała, podobna do uśpionego anioła, uśmiechającego się we śnie ku niebu. Jasne-blond włosy otaczały powabną twarzyczkę. Rysy regularne, już nie dziecinne, choć jeszcze i nie niewieście, wskazywały umysł przedwcześnie rozwinięty, a może niestety! i zaród choroby; chwilami zdawało się, że się nie przebudza. Poruszała się niespokojnie, odech jéj był uciśniony, policzki zaczerwienione, a niespokojny ojciec, pochylony nad pałającem czołem córki, porównywając oddech swój z oddechem Małgosi, czuł, że słabnie. Pomału spokój wracał na te słodkie rysy; Staroleski siadłszy blisko łóżka i patrząc na swe ukochane dziecię, zdawał się błagać o jéj życie.

Czy jest jaki cudowny balsam w ojcowskiéj miłości? tego nie wiem; dość, iż sen Małgosi zupełnie się uspokoił, i po godzinie czuwania skłopotany księgarz powrócił do swego pokoju, mniéj nieco wzruszony, lecz nieuspokojony. Szczęście to, które mu się zdało być tak ugruntowanem, majątek, który miał stać się w przyszłości udziałem jego córki, wszystkie te piękne marzenia zostały zniweczonemi. To, co teraz wi-

dział, przedstawiło mu w umyśle pierwszą jego miłość, żonę równie urodziwą jak Małgosia, lecz bladą, wychudzoną, umierającą— przedstawiło mu córkę, wydartą w kwiecie wieku podobnie jak matka; zgoła skon wszystkiego, co kochał, dla niego zaś osamotnienie i rozpacz.

Zbyt wzruszony, iżby się udać na spoczynek, Staroleski wziął leżącą przy łóżku wielką czarną księgę, spiętą na miedziane klamry; była to biblia, którą otrzymał w darze w dzień swego ślubu. Odwrócił pierwszą kartę i na niéj przeczytał:

Jan-Kanty Staroleski i Helena, połączeni 15 *kwietnia* 1819.

Małgorzata urodzona 20 *listopada* 1821.

Helena zmarła dnia 20 *grudnia* 1828.

Przeczytawszy to, rozpłakał się jak dziecko, poczem otwierając świętą ową księgę, natrafił na IX rozdział Ewangelii Sgo Marka, który tak brzmiał:

„36. Jezus wziął małe dziecię i wprowadził je pomiędzy swych uczni, poczem biorąc je w swe objęcia, rzekł im:

Ktokolwiek przyjmie jedno z nich w moje imie, mnie przyjmie, a ktokolwiek mnie przyjmie, to przyjmie nie mnie, lecz Tego, który mnie przysłał.“

Staroleski zamknął bilię z westchnieniem, poczem przystąpił do okna wychodzącego na ulicę; śnieg skrzył się przy świetle księżyca, a wiatr roznosił jego tumany. Mój Boże! rzekł do siebie, jakże biedni są nieszczęśliwi w czas podobny, i ileż my grzeszymy, zapominając o nich.

Położył się smutny, niekontent sam z siebie i pełen niespokojności; trud wszakże uśpił go wkrótce. Sen jego był niespokojny, obraz Małgosi wracał mu ciągle przed oczy, pod rozmaitemi postaciami. Ujrzał nanowo ową nędzną izbę, lecz tym razem małą żebraczką, leżącą na ubogiem posłaniu, była jego córka w ślubnéj sukni, jego córka, w gorączce, bliska śmierci.

Przy niéj była kobieta, cień przybrany w bieli; była to Helena, była to matka, przyjmująca duszę swojego dziecięcia.

— Tyś chciał tego, mówiła ona do Staroleskiego z wejrzeniem pełnem litości— jest tam w górze prawo odwiecznéj sprawiedliwości, co wiąże życie bogacza z życiem ubogiego. Każdy z tych biedaków, którymi pogardzacie, zabiera z sobą umierając duszę jednego ze szczęśliwców tego świata. Mała żebraczka, któraby jeden dukat był ocalił, umarła téj nocy, teraz koléj na nasze dziecię.

Kiedy Helena to mówiła, Małgosia blada prawie wyciągała do niéj ręce, jakby chcąc z nią ulecieć. Moje dziecię, wołał Staroleski, zanosząc się od płaczu, moje dziecię, ty mi go nie wydrzesz, ja nie chcę.

— Co ci to mój dobry ojcze? ozwał się słodki głosik, który go zbudził nagle. Czyś nie chory, że o téj godzinie jesteś jeszcze w łóżku?

— To ty Małgosiu, zawołał biedny ojciec, biorąc córkę za obie ręce i cisnąc ją do serca, to ty moje dziecię, czy ci co nie jest, czy nie cierpisz?—a twój dukat, a twój dukat, gdzie on jest?

— Mój ojcze, odrzekła Małgosia nieco przestraszona, wydałam go dla siebie, jakeś tego chciał.

— Już, i na cóżeś go wydała?

— Dowiesz się o tem późniéj, jest to niespodzianka, którą sobie zachowałam dla ciebie mój ojcze. Ale chodź prędko, śniadanie czeka cię już oddawna.

Staroleski wstał niespokojniejszy jak wprzódy, i kiedy Małgosia według zwyczaju przyniosła kawę, którą sama przyprawiła, odmówił po raz pierwszy w życiu filiżanki podanéj ręką córki i z ciężkiem westchnieniem: Małgorzato! rzekł, coś zrobiła ze swoim dukatem?

Wtedy ukazała się poza Małgosią kobieta czarno ubrana, jak ta, którą Staroleski widział we śnie, i wzięła ze drżeniem rękę zdziwionego księgarza.

— Mój dobry panie, rzekła, pozwól mi złożyć ci dzięki, za to, co zrobiła dla nas ta szlachetna dziewica, która przyszła wczoraj w twem imieniu z pomocą, o jaką cię panie błagałam. Z jéj łaski moja córka ma już dziś chleb i ciepło; z twojéj zaś mam zabezpieczony cały tydzień, i mogę mieć nadzieję... Oby ci Bóg chował długo tę, co ocaliła życie mego dziecięcia!

— Tydzień zabezpieczony! zawołał Staroleski, powiedz miesiąc, dwa miesiące, powiedz rok, powiedz całe życie—mam tu dwa dukaty dla was, zapłacę mieszkanie, zajmę się, a raczéj zajmiemy się twojem dzieckiem, ja i moja dobra Małgosia; nadewszystko nie zapominaj o sobie, zajmij się swoją córką i porzuć niedorzeczną i występną myśl wyskakiwania oknem, gdyż my czuwać będziemy nad wami.

Biedna kobieta spoglądała na Staroleskiego z zadziwieniem. Nie miała ona nigdy myśli odebrania sobie życia; lecz z drugiéj strony, jak wątpić o zdrowych zmysłach człowieka, który ci obiecuje pomoc? Ucałowała ona ręce Staroleskiego i Małgorzaty, odeszła pełna radości i nadziei, gdyż obiecano odwiedzić ją w ciągu dnia.

Staroleski dotrzymał słowa, przybył wkrótce i to z wozem ładownym. Włożył dwa materace w łóżka i dwie kołdry; nałożył sam drewek na komin i dmuchał na węgle, dopóki płomień nie zajaśniał. Małgosia ze swéj strony otworzywszy wielki worek podróżny, który ledwo udźwignęła na schody, dobyła z niego prześcieradła, koszule, chustki od nosa, i t. p. Sama się wzięła do umycia, wyczesania i ubrania dziecka, całując i pieszcząc je ciągle, włożyła na nie ciepłą wełnianą chustkę. Chora dziecina, zdziwiona temi staraniami tak dla niéj nowemi, nie chciała już więcéj opuścić swéj dobrodziejki. Na większą radość wezwany lekarz zbadawszy stan dziecka, oświadczył, iż całą jego chorobą były głód i nędza; choroba nieuleczona dla ubogiego, którą wszakże bogaty tak łatwo uleczyć jest w stanie.

Matka płakała z radości, patrząc na te dwoje dzieci, i Staroleski z nią razem.

Powróciwszy wreszcie do siebie, przycisnął córkę do piersi — moje dziecko, rzekł do niej, odtąd ty będziesz moim jałmużnikiem; przy moich zatrudnieniach, ty, co dobroczynność tak dobrze pojmujesz, ty się odtąd niemi zajmiesz. Ja będę twoim podskarbim, a nie obawiaj się zniszczyć mnie; jeżeli zaś wiano twoje ucierpi na tem, to Bog nas z innéj wynagrodzi strony.

Przez dzień cały i przez cały wieczór spoglądał na Małgosię okiem niewypowiedzianéj miłości; ścigał każdy jéj krok, podziwiał każdy jéj ruch. Ale kiedy udała się na spoczynek, a on sam pozostał, wydobył wtedy ze swego biurka portret Heleny, i przemawiał doń, jak gdyby malowidło to mogło go słyszeć:

Nikt, mówił, nikt nie myśli o tobie, nawet to dziecię, które cię nie znało, ale ja kocham cię zawsze, i w dziecięciu tem ciebie znajduję i ciebie w niem kocham. Sen téj nocy jestże przestrogą? tego nie wiem; wola Boża niech się stanie, ale jeżeli anioł ten, ma wkrótce ulecieć do nieba, to proś Boga o moja Heleno! niech mnie pierwéj zabierze.

Staroleski położył się z bólem głowy, nienawykły do tylu wzruszeń; spał jednakże, nie przebudziwszy się i bez żadnych marzeń. Nazajutrz widząc wesołość i żywość Małgosi, zapomniał o swéj niespokojności i myślał z rozkoszą o wzruszeniach dnia poprzedniego. Dzień ten był najszczęśliwszym i najmilszym w całym jego życiu.

O drzewach w lasach naszych rosnących.

(Ciąg dalszy, patrz nr. Cz. 39).

Brzoza (Betula) Rośnie na każdym gruncie suchym, gliniastym i piasczystym; stanowi albo sama czysty las, lub w pomieszaniu z sosną, dochodzi wieku lat 50. Jest najwytrzymalszem drzewem na zimno, dlatego też najdaléj na północy i najwyżéj na górach się przytrafia. Na wierzchołkach Alp brzozy jedynie rosną, a w Laponii wytrzymują 32° zimna. Kora na młodych gałęziach jest brunatna z białemi kropkami, na grubszych zaś i na pniach kora jest biała i gładka, rozdziera się wpoprzek na cienkie płatki—ta część kory jest bardzo trwała, bo częstokroć całe drzewo i wewnętrzna kora zupełnie spruchnieją, a ta w niczem się nie zmienia. Z téj własności kory umieli już korzystać starożytni, którzy używali jéj zamiast dzisiejszego papieru. Drzewo brzozowe jest białe, zbite, niełupne, giętkie i mocne; trzyma średnie miejsce między twardemi a miękkiemi drzewami, do budowy niezdatne, ale za to do rzemiosł na różne wyroby wyborne. Używane jest powszechnie do robót stelmachskich: na dzwona do kół, piasty, drążki do wasągów i drabin, dyszle, stelwagi, hołoble, jarzma, kleszcze do chomont, kule do siodeł i t. p. części zaprzęgu. Dobre jest także stolarzom i tokarzom na różne wyroby. Z narostów brzozowych, szczególniéj przy korzeniach, które się zowią *czeczotą*, wyrabiają mocne i piękne tabakierki i fajki, tudzież forniry do mebli. Prócz tych użytków wyrabiają z brzozy osady do fuzyj, walce, trzonki do narzędzi, kołowrotki, obręcze, wicie, miotły i t. d. Jako opał drzewo brzozowe jest bardzo dobre, pali się jasnym płomieniem, węgle nie sprawiają zawrotu głowy. W ścinaniu jednak brzozy należy zachować tę ostrożność, aby to uskuteczniać w porze zimowéj, nie zaś na wiosnę i latem

w czasie krążenia soków. Cięcie w porze niewłaściwéj można poznać po pleśni i grzybach występujących na końcach szczap. Nadto brzezinę po ścięciu, nie należy zostawiać w okrąglakach, lecz napół rozłupaną, gdyż nie mogąc prędko wyschnąć pod korą, butwieje, to jest zamienia się w suche próchno.

Oprócz wyżéj wspomnianych użytków z brzozy, kora jéj używa się do palenia dziegciu i do garbowania skór; robią także z niéj naczynia do napojów, trwałe powrozy, podpalają stosy węglarskie; liście dają piękną farbę żółtą, na paszę dla bydła z przyczyny mocnego zapachu i goryczy nieprzydatne. Po nacięciu pnia brzozowego na wiosnę, sączy się obficie sok zwany pospolicie *oskołą;* ma on smak słodkawy, przerabiać się może na ocet i cukier. Sadze z brzozy dobre są do malarstwa i do massy drukarskiéj. Z pączków zbieranych i nalanych spirytusem, dobre jest lekarstwo. Na brzozie wyrastą jeszcze grzyb, z którego wyrabiają zwyczajną *hubkę* do krzesania ognia.

Piękna odmiana brzozy, przytrafia się w naszych lasach, któréj gałęzie nadzwyczaj cienkie i długie są zawsze ku ziemi zwieszone; przesadza się ona do ogrodów, i powszechnie pod nazwiskiem *brzozy płaczącéj* jest znana. Wreszcie brzoza łatwo przyjmująca się na każdym gruncie, jest bardzo stosowną do wysadzania dróg, i do ustalania wydm piaszczystych, a doświadczenia pod tym względem robione w niektórych okolicach kraju, okazały najpiękniejsze wypadki.

O Bartnictwie w Polsce.

Dla czytelników naszych, których uwagę na ważność pszczelnictwa krajowego zwracaliśmy w wyszłych numerach 35, 37 i 41 Czytelni, zajmującą może będzie wiadomość, z jaką troskliwością oddają się téj gałęzi przemysłu w sąsiednich nam krajach niemieckich. W tamecznych pismach czasowych czytamy:

Drezno 10 września. Wczoraj i dzisiaj towarzystwo bartników niemieckich, odbyło tu siódme swe doroczne posiedzenie; (zgromadzenia te odbywają się co rok w innem mieście). Król Saski, salę główną pałacu w Ogrodzie Wielkim przeznaczył dla posiedzeń, przedsionek zaś dla wystawy, a rząd wyznaczył 300 talarów nagrody dla celujących w hodowaniu pszczół.

Liczny przyjęto udział w tem zebraniu, i dnia pierwszego przeszło 300 było osób. Znajdowali się deputaci kilku rządów niemieckich; prowincyonalne towarzystwa bartników przysłały swych sprawozdawców, a z Prus przybyli znakomici hodujący pszczoły: ks. Dzierżon nasz ziomek i baron Berlepsch. Rozbierano na tem posiedzeniu 13 kwestyj, tak praktycznego pszczelnictwa jak i jego teoryi dotyczących. Wystawę odwiedził następca tronu z małżonką, i liczna publiczność. Pomiędzy przedmiotami wystawionemi znajdowały się ule kształtów najrozmaitszych, a w wielu z nich można było przypatrywać się gorliwéj pracy pszczółek.

—

I w kraju naszym oddawna, oprócz pszczelnictwa, uprawianem było bartnictwo, i na wielką skalę. Aby porównać, że to, co dziś zajmuje tak szczerze kraje niemieckie, dawno już na naszéj ziemi było znanem i uprawianem, podajemy tu krótki rzut oka na bartnictwo w Polsce.

Oprócz pszczelnictwa domowego, kwitło w dawnej polsce i *bartnictwo,* czyli hodowanie pszczół w lasach; dowodzi tego *ustawa bartna,* zaprowadzająca sądy dla bartników, a nadto danina bardzo powszechna i znana pod nazwą *donicy.*

Wcześnie, bo już w statucie Wiślickim Króla Kazimierza W. znajdujemy opiekę bartnictwa—oznaczono tu kary za kradzieże pszczół po lasach.

Wedle wspomnionéj ustawy cech bartników obierał *sędziego bartnego,* który jako przewodniczący w sądzie miał do pomocy 2 ławników. Dwa sądy bartnicy miewali do roku: po S. Wojciechu i po N. M. Siewnéj. Na sądach tych załatwiali oni spory między bartnikami, oceniali szkody przez pożar w lesie zrządzone, karali *pszczołołupców,* t. j. złodziei wykradających z barci miód, wosk i t. p.

Wyroki swe i różne układy zapisywali w *księdze bartnej,* i tę zachowywali w skrzynce cechu swego. Nietylko bartnik, ale i pastuch w lasach pasający, pozwany, musiał się stawić przed ich sądem.

Oprócz sądu cech bartniczy miał *opiekuna cechu,* w osobie proboszcza swéj parafii, który w dzień S. Bartłomieja patrona bartników, nabożeństwo odprawiał.

Był nadto *starosta bartny* albo *starszy*. Doglądał on, ile corocznie na *surowym korzeniu*, t. j. nowych barci przybyło, pilnował ładu między bartnikami, i baczył, aby dziedzicom lasów w swym czasie danina oddawaną była. Starosta prowadził kontrolę i barcie *nakrywał*, t. j. numerami i cechami oznaczał. W razie ważniejszym, zwoływał wszystkich bartników na schadzkę, za pomocą tabliczki drewnianéj z pewną cechą, nazwaną *znakiem bartnym*, który jeden bartnik drugiemu odnosił.

—

Pod względem gospodarstwa pszczelnego bartnicy dzielili lasy na *ostrowy* albo *bory*, t. j. lasy oddzielne, i na uroczyska, czyli *okręgi bartne*, które od innych dzieliły granice naturalne.

Bór oznaczał część lasu mający 60 barci, *półbór* 30, a *ćwierć-bór* barci 15.

Obierali oni zwykle na barcie, jodły lub sosny 100 letnie bez gałęzi, proste, niezbutwiałe.

Podkład było to drzewo, które bartnik obrał na barcie, i na niem *klejmę nakłodził*, t. j. cech lub znak pewien wyrznął. Na tak obranéj sośnie lub jodle, bartnik wyrabiał *bart* w wysokości najmniéj 12 stóp od ziemi od strony wschodnio.południowéj. Narzędzie, którem ją robił, zwało się *bartnicą*, a *leziwą* sznury konopne, po których do barci właził.

Bartnik zabijał w drzewo nad miejscem obranem na barć *chmal*, i na nim *leżajo*, t. j. część *leziwa* zahaczał.

Barć czyli *dzień*, miewała 4 stopy długości, 15 cali głębokości, a szerokości, od przodu 4 wewnątrz 12 cali. Górna jéj część nazywała się *głową*, środkowa *ocznikiem*, a dolna *nogami*. *Plecy* była to strona podłużna od środka drzewa; *dłużnia*, strona od przodu otwarta.

Głowa barci wewnątrz była *laskami zaleszczona*, t. j. deskami zatknięta wpoprzek, aby na nich pszczoły plastry miodu przyczepiały.

W samym zaś środku *dzieni* od strony wschodniéj wyrabiano w drzewie otwór na 2 cale w kwadrat, który się *oko* nazywał, i służył do przechodu pszczół. W otwór ten zasadzał się *oczkas*, *jarczos* albo *jarkul*, t. j. kawałek drzewa, zaciosany z jednego końca jak klin, a daléj okrągły i sięgający wewnątrz aż przeciwnéj strony barci. Boki tego okna były ścięte tak, iż pszczoły obok niego wygodnie mogły przechodzić. Oczkas służył za szczebel, na którym pszczoły opierały budowę miodową, był zarazem i miarą podbioru, bo tylko po oczkas plastry wycinano. Dawano nadto obok oczkasu lub na krzyż z nim, laski, aby utwierdzić lepiéj budowę pszczelną.

Płacha, *zatuła*, albo *zatwór* była to deska na 3 cale gruba, szczelnie przystająca, która zatykała *dłużnią* barci.

Snit albo *snoza* była to deseczka, dłuższa od zatworu, która się przybijała na wierzchu do drzewa drewnianemi gwoździami. Oprócz tego między śnitem, a zatworem zatykano gałązki kolące zwane *wiechą*; ochraniały one barć od słoty, nie dozwalały przystępu żółnom i innym ptakom.

Gdy już w ten sposób barć urządzoną została, *farbowano* ją, t. j. wyłożono barć wewnątrz farbą czyli *zanetą*, by do niéj zwabić rój nowy— wkońcu *nabijano barć*, t. j. lepiono w głowie dzieni do lasek *susz* czyli plastry czyste, w kierunku, jak pszczoły miały swoje roboty prowadzić.

Gdy bartnik szedł do barci, był ubrany w kurtę, spięty pasem, boso, lub obuty w postoły.

Miejsca w lasach, w których bartnicy mogli wozami stawać, i konie paść, nazywały się *stanowiska*; były to łączki trawą zarosłe.

Łączki te przez trzebienie lasu powiększano — stanowiły one łącznie z barciami jednę posiadłość, i dzieliły się także na *cały bór*, *pół boru*, i *ćwierć boru*. Za używanie całego boru, t. j. 60 barci z łączkami, dawał bartnik w daninie 4 *pudłaki*, czyli 16 garncy miodu.

Lustracya r. 1620 pokazuje, iż bartnicy *Jaktorowskiéj puszczy*, dawali miód *rączkami*, t. j. miarą mającą 10¼ garncy.

Następnie zamieniono tę daninę za Prusaków na opłatę pieniężną; mogli bartnicy w borach, gdzie mieli barcie, przemytników *zagrabiać*, t. j. fantować.

Bartnictwo najbardziéj rozwiniętem było u Kurpiów, na Mazowszu, mianowicie w teraźniejszych powiatach Warszawskim, Rawskim i Łowickim, w których przed 1830 r. było w lasach rządowych barci 197—od barci pobierano rocznie po złp. 3, czyli 45 kop.

W druk. J. Ungra—Wolno drukować. Warszawa d. 30 września (12 paźdz.) 1857 r.—Starszy cenzor, F. Sobieszczański.